



Fot. AIPN

► Manifestanci na ulicach Poznania

Poznań'56

Jerzy Eisler

W gwarze poznańskiej słowo „szczun” oznacza kilkunastoletniego chłopaka spędzającego sporo czasu na ulicy, takiego trochę ulicznika, małego łobuziaka, ale w żadnym razie nie chuligana czy tym bardziej bandytę. Właśnie tytuł *Szczuny* miał pierwotnie nosić pierwszy fabularny film poświęcony „krwawemu czwartkowi” w Poznaniu. Ostatecznie jednak twórca tego dzieła, rodowity poznaniak Filip Bajon, obawiając się, że taki tytuł byłby pewnie niezrozumiały poza Wielkopolską, odstąpił od tego zamiaru, decydując się na nazwanie filmu w sposób absolutnie zrozumiały dla wszystkich.

Z resztą reżyser i zarazem współtwórca scenariusza Filip Bajon sam oglądał tragedię rodzinnego miasta oczyma niespełna dziesięcioletniego chłopca i z takiego też dziecięcego punktu widzenia zdecydował się później ukazać wydarzenia z Czerwca '56. Po latach mówił na ten temat: „To wszystko działo się w mojej dzielnicy. Nagle na ulicach i podwórkach, na których bawiliśmy się w wojnę, zaczęła się wojna naprawdę. Pojawił się czołg, na dachu stał karabin maszynowy, wokół pełno łusek...”

Demonstracje stłumione przez wojsko

Zanim spróbuję odpowiedzieć na pytanie, czy to zamierzenie artystyczne się powiodło, najpierw trzeba przypomnieć podstawowy zrab faktów. Rankiem 28 czerwca 1956 roku robotnicy przerwali pracę „w ceglorku”, o 6.20 sformowali pochód i w porządku, bez awantur wyszli na ulice. Skierowali się w stronę znajdujących się w centrum miasta i sąsiadujących ze sobą gmachów Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej oraz Miejskiej Rady Narodowej. Wśród demonstrantów szybko ujawnił się silny nurt jednoznacznie polityczny i niepodległościowy. Śpiewano hymn narodowy, *Rotę* w wersji „aż się rozpadnie w proch i pył rosyjska zawierucha”, pieśni religijne: *My chcemy* ►

Boga, Pod Twoją obronę oraz Boże, coś Polskę w wersji „Ojczyznę wolną rącz nam wrócić Panie”. Stosunkowo szybko – jeszcze w pierwszej fazie manifestacji – pojawiły się też biało-czerwone flagi i sporządzone naprędce transparenty o treści na ogół ekonomicznej i społecznej: „Żądamy podwyżki płac”, „Chcemy żyć jak ludzie”, „Chcemy chleba”, „Precz z normami”, „Jesteśmy głodni”. Z czasem dołączyły również te już otwarcie antykomunistyczne i antyrządowe: „Precz z wyzyskiem świata pracy”, „Precz z czerwoną burżuazją”, „My chcemy wolności”, „Precz z bolszewizmem”, „Precz z komunistami”, „Żądamy wolnych wyborów pod kontrolą ONZ”, a nawet „Niech żyje Mikołajczyk”. W końcu pojawiły się też okrzyki o treści antyrosyjskiej i antyradzieckiej: „Precz z Rosjanami”, „Precz z Moskalami”, „Precz z Ruskami, żądamy prawdziwie wolnej Polski”.

Po godzinie 9.00 tłum w centrum miasta na ówczesnym pl. Stalina (obecnie pl. Adama Mickiewicza) niektórzy szacowali nawet na 100 tys. osób, przy czym oczywiście nie wszyscy byli w pełni świadomymi uczestnikami protestu. Wielu ludzi patrzyło na to, co rozgrywało się na ulicach, z niepełnym zdziwieniem, niedowierzaniem, ale zarazem często i z satysfakcją, zadowoleniem, a niejednokrotnie – jeżeli tak można powiedzieć – z radością. Wobec braku jakiegokolwiek reakcji ze strony rządzących z czasem doszło do płańdowania budynków lokalnych władz. W pewnym momencie w tłumie rozeszła się plotka o aresztowaniu robotniczej delegacji. Była to nieprawda, ale część zebranych sformowała pochód i udała się na ulicę Młyńską pod więzienie, aby uwolnić rzekomo tam przetrzymywanych „cegielszczaków”.

Jednocześnie inna grupa skierowała się pod gmach Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Kochanowskiego. Zbliżający się manifestanci zostali oblani z okien budynku wodą z hydrantów. Wówczas z tłumy w stronę siedziby lokalnej „bezpieki” poleciały kamienie. W odpowiedzi o 10.40 z okna na drugim piętrze obleganego gmachu padły pierwsze strzały, co oczywiście natychmiast wpłynęło na obustronną eskalację agresji. W wielu punktach miasta rozgorzała gwałtowna walka z użyciem butelek z benzyną, ale też broni palnej, którą demonstranci w ciągu następnych godzin zabrali z magazynu więziennego przy ul. Młyńskiej, ze Studium Wojskowego Wyższej Szkoły Rolniczej, Akademii Medycznej i Politechniki Poznańskiej oraz z mniejszych posterunków i komisariatów Milicji Obywatelskiej. W promieniu kilkunastu kilometrów od Poznania grupy młodych ludzi wyposażone w samochody ciężarowe i zdobytą wcześniej broń rozbrajały posterunki i komisariaty milicji, zabierając z nich każdorazowo od kilku do kilkunastu sztuk broni palnej. W sumie w rękach demonstrantów znalazło się około dwustu sztuk nadającej się do użytku broni palnej, z czego zdecydowaną większość w następnych dniach odzyskano. Natomiast wobec 94 osób sformułowano później zarzut ataków z bronią w rękę.

Ponieważ w owym czasie w PRL nie było specjalnych formacji milicyjnych przeznaczonych do interweniowania w takich wyjątkowych sytuacjach, do tłumienia buntu zdecydowano się użyć jednostek Wojska Polskiego. Do miasta, w którym prawie natychmiast wprowadzono blokadę telekomunikacyjną, wkroczyło łącznie ponad 10 tys. żołnierzy wyposażonych w 359 czołgów (31 z nich zniszczono lub uszkodzono w czasie walk), 31 dział pancernych, 6 armat przeciwlotniczych, 30 transporterów opancerzonych, 880 samochodów i 68 motocykli. W trakcie kilkudziesięciogodzinnej akcji żołnierze zużyli w sumie około 180 tys. sztuk amunicji, głównie do broni maszynowej, co świadczyło tyleż o przyjęciu błędnej koncepcji użycia wojska, co i o zaciętości toczonych walk. Na marginesie można dodać, że w czasie bitwy o Poznań w lutym 1945 roku Armia Czerwona dysponowała w mieście zaledwie 105 czołgami, to jest ponad trzy razy mniejszą liczbą, niż użyto w czerwcu 1956 roku.

Nie ulega wątpliwości, że mieliśmy wówczas do czynienia z czymś więcej niż wyłącznie z protestem o podłożu społeczno-ekonomicznym. Takie też były odczucia wielu uczestników i obserwatorów zająć. Do insurekcyjnej symboliki i retoryki świadomie zresztą nawiązywała część demonstrantów. Obrazy chłopców z butelkami benzyny w dłoniach oraz młodych mężczyzn prowadzących wymianę ognia z wrogiem, za jakiego powszechnie wówczas uznano „ubeków”, młode dziewczyny przedstawiające się jako „powstańcza służba medyczna”, patriotyczne pieśni, liczne biało-czerwone flagi – wszystko to razem nasuwało skojarzenia insurekcyjne. Co więcej, pojawiły się plotki mówiące o tym, że w całym kraju wybuchło narodowe powstanie, a lokalna siedziba „bezpieki” jest jednym z ostatnich broniących się bastionów władzy komunistycznej.

Trudno się więc dziwić, że w miarę rozwoju wydarzeń narastała groźba rozprzestrzenienia się krwawych walk na inne rejony kraju. Mimo że w mieście ogłoszono obowiązującą od godziny 21.00 do 4.00 rano godzinę milicyjną, krwawe walki – choć mniej gwałtowne – trwały również następnego dnia. W ich wyniku zginęło w sumie kilkadziesiąt osób, a kilkaset zostało rannych.

Okiem reżysera

Tyle historia! A jak ukazał ją w swoim rocznicowym (nakręconym na czterdziestolecie) filmie Filip Bajon? Przede wszystkim zdecydował się, że nakręci go nie w kolorach, lecz na taśmie czarno-białej, ponieważ – jak sam wyznał – tak we własnych wspomnieniach zapamiętał „ówczesną rzeczywistość”. Pokusił się też – na ile tylko było to możliwe – o rekonstrukcję przebiegu wydarzeń oraz „ożywienie” pewnych najbardziej znanych „klisz” z poznańskiego buntu: czołgi na ulicach, skrwawiony sztandar biało-czerwony, tłumy na ulicach w centrum miasta itd. W tym wypadku pozwolił sobie jednak na – moim zdaniem – zbędne uproszczenia i komasacje niektórych wątków i postaci.

Tak na przykład historycznym pierwowzorem jednego z przywódców robotniczego buntu na ekranie, Stanisława Kaczmarka, był naprawdę lider strajku w „ceglorzu” Stanisław Matyja. Natomiast filmowy syn Kaczmarka, Piotrek, jest postacią ewidentnie nawiązującą i wręcz wzorowaną na jednej z najmłodszych ofiar „czarnego czwartku”, trzynastoletnim harcerzu Romku Strzałkowskim, którego imię nosi dzisiaj jedna z poznańskich ulic. W rzeczywistości nie było jednak rodzinnych związków między tymi dwiema historycznymi postaciami. Warto przy okazji przypomnieć, że dokładne okoliczności śmierci Romana Strzałkowskiego pozostają nie do końca rozpoznane. Niemal na pewno jednak był on ofiarą „ubeckiej” zbrodni i dobrze, że taki właśnie trop wskazują twórcy filmu.

Autorskim pomysłem Filipa Bajona było także wprowadzenie wątku odstawionego na bocznicę poznańskiego dworca wagonu kolejowego, w którym zamkniętych przebywało pięciu profesorów, udających się na naukowe sympozjum do Szczecina. W drugoplanowe role wcielili się tutaj najwybitniejsi polscy aktorzy: Janusz Gajos, Władysław Kowalski, Jan Nowicki, Daniel Olbrychski i Jerzy Radziwiłowicz. Owi uczeni – wbrew własnej woli – byli biernymi obserwatorami rozgrywających się wokół wydarzeń. Między innymi przerażeni i wstrząśnięci przyglądali się przez wagonowe okna linczowi rozgrywającemu się na pobliskim peronie. O ile historykom nic nie wiadomo o takich zamkniętych w wagonie naukowcach, o tyle doskonale wiedzą, że zmasakrowanym przez tłum człowiekiem był kapral WUBP Zygmunt Izdebnny. Oskarżony przez zgromadzonych ludzi o zabicie kobiety i dziecka, przez dwie godziny ścigany był po mieście, aż wreszcie – schwytany na peronie Dworca Głównego – został zamordowany w niezwykle okrutny sposób (przypalanie twarzy papierosa-

mi, uderzenie głową o kamienie, kopanie, brutalne bicie). Znęcający się nad Izdebnym mężczyźni mieli wykrzykiwać, że „rozdepczą jak pluskwy wszystkich pracowników UB”.

Na jeszcze jedną rzecz warto zwrócić uwagę. Otóż przez pryzmat losów dwóch chłopców: Piotrka i Darka, którego ojciec (doskonała rola Grzegorza Wonsa) jest oficerem „bezpieki”, Filip Bajon znakomicie pokazał różnice w poziomie życia w stalinowskiej Polsce między uprzywilejowanymi funkcjonariuszami, zaopatrującymi się w podstawowe produkty w osławionych sklepach „za żółtymi frankami” i mieszkającymi w osobnych blokach strzeżonych przez wartowników, a robotnikami z najwyższym trudem wiążącymi koniec z końcem.

Poznań '56 to bardzo ważny i poruszający film. Ukazuje nie tylko sam protest społeczny, jego tło, przebieg i konsekwencje, ale mówi także sporo o istocie systemu komunistycznego i o tym, jak naprawdę wyglądało życie prostych ludzi w Polsce u schyłku okresu stalinowskiego. Jeżeli mówimy, że są książki, które powinny stanowić kanon obowiązkowych lektur kulturalnego i wykształconego Polaka, to na pewno powinien być też kanon takich filmów i bez wątpienia jednym z nich powinien zostać właśnie *Poznań '56*. 🍷

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008)

► Kadr z filmu *Poznań '56*

